

A photograph of a brown bear walking towards the camera on a snow-covered path in a forest. The trees are bare and the atmosphere is misty. The bear is the central focus, walking on a path of snow and rocks.

**BIEDRZYCKI  
TOMASZ**

**TRIGUN  
HERBU  
NIEDŹWIEDŹ**

str. 1

# **TRIGUN HERBU NIEDŹWIEDŹ**

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.

All rights reserved

Okładka

Dagmara Kolasa

Wydanie I

Jelenia Góra 2013

[www.tomaszbiedrzycki.pl](http://www.tomaszbiedrzycki.pl)

[ksiazki@tomaszbiedrzycki.pl](mailto:ksiazki@tomaszbiedrzycki.pl)

Nad Wielką Puszczą ospale wstawał świt. Ogromna tarcza słoneczna niechętnie oderwała się od horyzontu, oświetlając swymi promieniami ocean ciemnej, leśnej zieleni, rozciągający się aż po horyzont. Czubkami wiekowych drzew poruszały delikatne powiewy wiatru. Pośród zbitej gęstwiny wił się trakt pokryty drobnym piaskiem. Jak okiem sięgnąć, wszędzie panował spokój. Daleko na horyzoncie pojawiła się smużka dymu. Przez leśną przecinkę przemknęła sfera wilków ścigająca oszalałego ze strachu jelonka i ponownie zapanował spokój. Zza widocznego w oddali zakrętu wyjechała pojedyncza sylwetka konnego wędrowca. Niespiesznie jechał stępa. Zbliżał się powoli. Głowa pochylona do przodu, wydawała się beładnie kiwać. Spod krótkich zmierzwionych włosów patrzyły jednak czujne oczy. Koń, kasztanowej maści, nie był rasowym wierzchowcem, ale jego wytrzymałość i

dzielność była widoczna na pierwszy rzut oka. Obok siodła wystawało drzewce włóczni zakończone szerokim ostrzem. Z drugiej strony wisiał okrągła, drewniana tarcza. Gdzieś niezbyt daleko rozległ się pojedynczy świst bata. Po chwili drugi. Na trakcie, z przodu pojawiła się grupa konnych, a zaraz za nimi kilka wozów. Samotnik nie przerywał swego jednostajnego marszu, nie zwracając uwagi na zbrojnych. Okrył się jedynie szczelniej ciemnobrązową opończą i nasunął szeroki kaptur mocniej na głowę. Zauważyli go. Dwóch najbliższych jeźdźców uniosło kusze. Bez jakichkolwiek ostrzeżeń wycelowali w podróżnego. Dopiero wtedy jeden z nich nabrał powietrza w płuca.

- Stój!!! – mocny, twardy okrzyk sprawił, że wędrowiec ściągnął lejce, powstrzymując konia. Dłonie oparł na końskim karku i pozostawał nieruchomy.

Konni podjechali bliżej. Obaj odziani byli w półpancerze. Wypolerowana stal błyszcząca w słońcu. Na tarczach wymalowany był herb barona Angwarda z Wilaret<sup>1</sup>

- Kim jesteś? – swe ostre pytanie gwardzista poparł znaczącym ruchem kuszy.

- ...tylko bez gwałtownych ruchów – uprzedził wojownik. Ręce dzierżące kusze uniosły się lekko, celując we wrażliwe punkty na ciele nieznajomego. To byli starzy wyjadacze. Nic nie pozostawili przypadkowi.

- Wędrowcem w długiej podróży – mruknął samotnik. Uniósł głowę. Długości brody wskazywał, iż istotnie musiał być w drodze od dawna. Gwardziści obrzucili wzrokiem samotnika. Niezbyt zniszczona opończa, włócznia, ot myśliwy w drodze.

- Ano widzi mi się żeś niegroźny. Trzym się ino daleko od naszech wozów – Po dłuższej chwili znaczącego milczenia, gwardzista machnął

ręką i odłożył kuszę. Wraz ze swym towarzyszem powrócili do karawany, która zdążyła podjechać całkiem blisko. Kawalkada składała się z dwunastu wozów. Na kilku z nich siedzieli kupcy. Wszyscy z ciekawością spoglądali na samotnego jeźdźca, będącego jakąś odmianą po nudnej, zielonej ścianie, oglądanej przez większą część dnia. Wkrótce karawana znikła z przodu. Samotnik zdawał się być nieobecny duchem, zagłębiony w myślach. Spiał jedynie wierzchowca do szybszego truchtu i w milczeniu podążał śladami wozów, nie bacząc na żar lejący się z nieba. Słońce stało wysoko na niebie, gdy z leśnej głuszy wyłonił się szeroki, zbudowany z grubych belek kasztel. Na potężnej okutej bramie, prowadzonej do wnętrza, widniała tabliczka z wiszącą głową dzika. Wędrowiec odchylił kaptur i uśmiechnął się lekko pod nosem. Stanął przy potężnych wierzejach i zaciśniętą pięścią uderzył kilka razy w okorowane bele.

- Kto tam? – zza bramy zahuczał potężny głos. Wędrowiec nawet nie próbował wyobrazić sobie jego właściciela. Kogoś, kto byłby w stanie wydać z siebie taki bas.

- Podróżny – uniósł w górę otwarte dłonie. Wysoko ponad drewnianym ostrokołem pojawiła się ogromna, płaska twarz, znaczona wieloma bliznami. Chwilę lustrowała nieznajomego, po czym odwróciła się do wnętrza kasztelu. W powietrzu ponownie zadudnił głęboki głos.

- Adren, otwieraj dzwierza – potężne wrota uchylły się, nie wydawszy jednego skrzypnięcia. Wędrowiec wjechał na spory dziedziniec. Pośrodku stał strzelisty, drewniany dworek, będący jednocześnie karczmą. Wokół stało kilka koni, bez wątpienia szlachetniejszej krwi niż wierzchowiec podróżnika. Jeździec lekko zeskoczył na klepisko. Obok, niemal natychmiast, pojawił się potężny osiłek, mający grubo ponad dwa metry wzrostu. Jego naga

czaszka błyszcząca w słonecznych promieniach. Wyciągnął w stronę przybysza otwartą dłoń, wielką jak bochen chleba

- Nocleg kosztuje mój panie – zahuczał z lekką kpina.

- Pięć srebrników – podróżny, bez mrugnięcia okiem, wręczył żadaną sumę. Konia przekazał w ręce stajennego, a sam przekroczył zadymiony próg karczmy. Wnętrze wypełniał szum rozmów. Przy jednym ze stołów siedziało kilku amienów, mających cechy zarówno elfów jak ludzi. Tuż obok leżał na ławie potężny brodacz. Głośno chrapał. Obok jego głowy stał drewniany kufel z niedopitą zawartością. Samotny wędrowiec ściągnął opończę, spod której ukazała się łuskowa zbroja. Usiadł przy jednej z wolnych ław. Miecz z cichym chrzęstem wylądował na stole. Po chwili do samotnika podszedł niski, chudy chłopiec służebny. Musiał mieć domieszkę orczej lub gobliniej krwi.



Zdradzała to chropawa skóra i twarz młodzika. Skłonił się i zapytał cichym głosem nie patrząc na przybysza.

- Panie?

Podróżny spojrzął w płonący na szerokim kominku ogień i powoli obracającą się pieczeń.

- Jeleni comber i piwo – chłopiec skłonił się i znikł za szynkwasem. Podróżny rozsiadł się wygodniej na ławie. Minęła dłuższa chwila, nim otrzymał jedzenie. Z lubością wciągał zapach pieczystego, będącego przyjemną odmianą po suszonym mięsie i podpłomykach. Był już w połowie posiłku, gdy szcęknęły drzwi. Zerknął przez ciekawość i zamarł. Na podmurówce stał potężny człowiek. Zza pasa wystawał półtoraręczny miecz. Za nim zaś stali następni. Pod obdartymi opończami przeblyskiwały kaftany, nabite stalowymi guzami. Pamiętał tę bezlitosną twarz. To za nią podążał od tygodni.

- Miodu karczmarzu! – huknął przybysz. – Miodu i dziczyzny. Jesteśmy głodni! – karczmarzowi wystarczyło jedno spojrzenie. Bez szemrania wybiegł do piwniczki. Do izby wtarabaniło się w sumie ośmiu oprychów. Rozmowa amienów przycichła. Cała czwórka obserwowała w milczeniu nowo przybyłych. Zauważył to przywódca i skierował w stronę mieszańców szeroką klingę dagi<sup>2</sup>.

- Macie żarcie przed sobą. To baczcie by wam nie znikło sprzed tych gładkich gąb – Trudno było powiedzieć, czy amieni zrozumieli obraźliwą mowę draba. W każdym razie odwrócili się razem, jak jeden mąż. Na ławach zajętych przez ósemkę oprychów pojawiły się, dymiące z gorąca, dwa upieczone w całości dziki. Jeden ze służebnych chłopców wniósł bukłak z winem. Samotnik pod ścianą zatopił się w swoich myślach. Od czasu do czasu zerkał jednak na głośno uczujących przybyszy. Zanim zdążyli się

nim zainteresować, wyszedł z karczmy i udał się do stajni. Tam, wygodnie rozłożony na poddaszu, zamknął oczy. Sen jednak miał lekki, przechodzący w drzemkę. Ciche parskanie wierzchowców na dziedzińcu zbudziło wędrowca. Powoli wstał i zszedł na dół. Zapadał zmrok. Na podjeździe stała dwunastka ludzi a pomiędzy nimi, przykryty płótnami wóz. Przez uchyloną bramę cały orszak wyjechał na zewnątrz, wprost w noc. Wędrowiec bez pośpiechu oporządził konia, założył uprząż i przypasał miecz. Wyruszył w jeden pacierz po opuszczeniu zajazdu przez grupę bandytów. Karczmarz ani jego potężny wspólnik nawet nie mrugnęli okiem, gdy samotny klient opuścił progi kasztelu. Ich interesowała jedynie brzęcząca zapłata, uiszczona w srebrze. Tylko ogromny strażnik przez chwilę wpatrywał się jeszcze w odjeżdżającego wędrowca, okrytego oponczą, który znikł w ciemnościach.

Samotny tropiciel jechał czujnie, wypatrując w zapadającym mroku świeżych śladów. Robił to z dużą wprawą, bacząc, czy ślady nie skręcają gdzieś w las. Wkrótce jednak zapadły całkowite ciemności, słabo rozpraszane przez blask gwiazd. Wokół szumiała potężna puszcza. Gdzieś w mroku rozległo się wycie wilka. Tropiciel zszedł z wierzchowca i nie zwracając uwagi na nocne odgłosy, szedł dalej za tropem. Wkrótce wyczuł delikatny zapach spalenizny. Podążył za nim, zagłębiając się w puszcę. Niezbyt daleko, pomiędzy drzewami pełgał żółty płomień. Słysząc było pijacką pieśń. Mężczyzna przywiązał wierzchowca do drzewa. Sam, z mieczem przewieszonym przez plecy, powoli skradał się kierunku obozowiska. Bez pośpiechu, nie łamiąc jednej gałązki, ominął strażnika siedzącego na kamieniu i wpatrzonego w niebo. Przycupnął przy samym wozie, ustawionym na skraju kręgu światła rzucanego

przez ognisko. Ukryty między wysokimi kołami, obserwował spokojnie krąg siedzących wokół ognia mężczyzn. Część spała, nawet masywny, muskularny przywódca. Nie spuszczać z nich wzroku, przesunął się pod drewnianą burtę wozu. Odchylił płócienną osłonę i jednym, szybkim skokiem znalazł się w środku. Wylądował na drzemającym strażniku. Z nagłą obudzony człowiek, z wysiłkiem usiłował się podnieść. Beknął głośno, a w nozdrza tropiciela uderzył zapach spirytusu. Błysnęło ostrze sztyletu, gdy wędrowiec zadał jeden szybki cios. Pijany z cichym rżeniem osunął się na podłogę wozu, krwawiąc z rany na piersi. Zabójca natychmiast zerknął na ognisko, widoczne poprzez szpary w burcie wozu. Panował tam spokój i cisza. Odwrócił się, by w ciemnościach spowijających ciasne wnętrze zobaczyć zarysy pakunków i dwa związane ciała. Odetchnął z ulgą. Pierwsza ze związanych postaci drgnęła pod jego

dotknięciem. Przesunął się wyżej i odwrócił jeńca, by spojrzeć w rozszerzone przerażeniem, piwne oczy. Brudna chusta kneblowała kobietę skutecznie. Nie szarpała się, widząc zupełnie nieznanego sobie człowieka. Tropiciel przestąpił związaną i obudził drugiego więźnia. Jasne, długie włosy i delikatna broda bez wątplenia należały do książęcego syna. To ocalenie jego młodej głowy warte było tysiąca sztuk złota. Wędrowiec bezgłośnie wyciągnął myśliwski nóż i rozciął więzy krępujące młodego szlachcica. Więzień zdjął sobie samodzielnie knebel i szepnął cichym dźwięcznym głosem.

- Trigun... – słysząc głos wielmoży, tropiciel przyłożył palec do ust w geście ciszy. Odwrócił się do związanej kobiety.

- Zostaw ją. To jakaś amienka... – ponownie odezwał się więzień zniecierpliwionym szeptem, zdumiony postępowaniem tropiciela.

- Te bydlęta potrafią być bezwzględne – szept ksiązęcego syna wyrażał strach i niepokój.

- Jeszcze jedno słowo a zostaniesz tu ksiązę – oschły głos tropiciela sprawił, że więzień zamilkł. Z pobłażaniem w oczach patrzył na poczynania Triguna, uwalniającego związaną. Dziewczyna z lękiem spoglądała na roslą postać wędrowca. Chociaż odsunęła się bojaźliwie, to zachowała całkowitą ciszę. Ksiązęcy syn widząc to, bezceremonialnie przesunął się do wyjścia.

- A jakże ksiązę, ty pierwszy – mruknął ironicznie tropiciel. Wskazał dłonią miejsce ukrycia konia.

- W tamtą stronę podążaj. My zaś ruszymy twym śladem – Trigun wysunął się ostrożnie z wozu i spojrzał na ognisko.

- Ruszaj – warknął. Ksiązę natychmiast pobiegł między drzewa. Tropiciel mógłby przysiąc, że szlachcic i bez jego wezwania skoczyłby w noc. Kręcąc z rezygnacją głową,

wędrowiec schował miecz i mruknął do wnętrza wozu.

- Teraz twa kolej białogłowo – dziewczyna posłusznie, choć lękliwie opuściła wóz. Podążyła w krok za swym wybawcą. Mimo głębokich ciemności, tropiciel odnajdywał drogę bez wahania. Zżymał się tylko, słuchając hałasu, jaki czynił idący za nimi syn książęcy. Gdy dotarli do miejsca ukrycia wierzchowca, szlachcic zdołał się już umościć na krótkim siodle, narzekając na jego niewygodę. Książę poczuł się bezpieczniej, tym bardziej, że pojawił się Książęcy i dzięki jego światłu mógł cokolwiek widzieć. Starł się nie myśleć teraz o duchach czy strzygach. Gdy otworzył usta, w jego głosie już pobrzmiwała pycha.

- Trigun, zadziwiasz mnie, jeden marny wierzchowiec? Jakże zamierzacie nadążyć za mą osobą? – szlachcic przerwał krytyczny ogląd



konia i odwrócił głowę, by spojrzeć prosto w głębokie, ciemne oczy tropiciela.

- Na koniu pojedzie białogłowa. Jest ranna. – cichy głos wędrowca miał w sobie tyle siły, że książęcy syn zsunął się z wierzchowca.

- Zdajecie sobie sprawę, żem książę? A któż ona jest? Na zatracenie ją wzięli...

- Ni słowa więcej – Trigun warknął nieco głośniejszym głosem, uciszając lament młodzieńca. W milczeniu posadził dziewczynę na siodle. Jej oczy wyrażały wdzięczność, ale nie odezwała się jedynym słowem. Sine ślady na drobnych dłoniach znaczyły miejsce więzów. Ciemniały, nabiegły krwią. Tropiciel wyłuskał z sakiewki przy pasie kilka ziołowych liści.

- Żujcie to pani, uśmierzy ból. – Upewniwszy się, że utrzyma się w siodle, chwycił za uzdę. Spojrzał na młodego wielmożę. Na twarzy byłego więźnia pojawiła się pierwsza

rysa złości, choć nic nie mówił. Trigun po namyśle rzucił przez ramię

- Chcesz wierzchowca? Czekaj na zbrodzeni – Koń posłusznie stąpał za właścicielem. Zza drzew do uszu księżęcego syna doszedł ironiczny głos tropiciela.

- Jeśli wola do ojca powrócić, to dyrdaj za mną. I to szybko! – Książe przeklinając pod nosem poszedł śladem Triguna, nie zwracając na gałęzie chłoszczące w ciemnościach jego gładką twarz.

\*

Wstające słońce oświetliło trójkę uciekinierów idących bokiem traktu. Mężczyźni szli własnych nogach. Wymizerowana kobieta z trudem utrzymywała się na wierzchowcu. Wędrowali brzegiem traktu, starając się nie pozostawiać śladów. Młody wielmoża, narzekał

wciąż pod nosem, spuściwszy głowę w dół. Ociężale stąpał krok za krokiem, nie przyzwyczajony do takiego wysiłku. Łowca wydawał się wypoczęty. Bez ustanku rozglądał się bacznie. Słyszając urywany, szybki oddech książęcego syna, Trigun nakazał postój na wzgórzu. Przed nimi rozciągała się niezmierna puszca, przecięta złocistą wstęgą piaszczystego gościńca. Bliżej w odległości kilku staj, widniał drewniany ostrokół karczmy. Na trakcie, za uciekinierami, pojawiło się kilku jeźdźców. Byli ledwie widoczni, ale wzbudzany przez nich obłok kurzu nie mógł ujść uwagi. Tropiciel szybko oszacował drogę do kasztelu. Szybko ocenił, że nie zdążą uciec pościgowi. Nie w tym tempie. Książę stanął obok i otrząsnąwszy się, podniósł głowę. Dostrzegł jeźdźców i z przestraszeniem obrócił głowę kilkakrotnie, spoglądając to na karczmę, to na goniących. W głowie zaświtały mu te same wnioski co Trigunowi.

- Na bogów! - wykrzyknął wielmoża - nie damy rady? – niepewne pytanie podszyte było paniką. Myśliwy odpowiadając bez słów, w zamyśleniu kiwnął potakująco głową. Podszedł do wierzchowca i wyciągnął łuk przytwierdzony do siodła. Sięgnął po kołczan. Młody wielmoża stał z boku, patrząc z niepokojem na Łowcę, a następnie na przybliżający się obłok kurzu.

- Zostawmy tą białkę. We dwóch nadal mamy szansę – szlachetnie urodzony młodzieniec nie rezygnował. W jego głosie pobrzmiwał strach o własną skórę.

- Ma głowa jest stokroć cenniejsza niż jej. Ojciec z pewnością nie poskąpi nagrody... - Dziewczyna z niepokojem spoglądała na małomównego Triguna. Wydawało się, że tropiciel nie słyszy obietnic i zaklinań młodego księcia. Ledwie usłyszała mruknięcie swego wybawcy.

- Zmilczę, nie chciałbym uchybić wyżej urodzonej osobie – mówiąc to, łowca stanął przodem do nadjeżdżającej pogoni. Bez cienia strachu spoglądał na jeźdźców. Drgnął usłyszawszy krzyk dziewczyny i obrócił się. Księżę postanowił działać. W czasie gdy myśliwy obserwował pościg, podbiegł do wierzchowca i jednym silnym szarpnięciem zrzucił amienkę. Wskoczył na konia i odjechał galopem w stronę zbawczego schronienia. Trigun z kamienną miną, odruchowo chwycił za strzałę i błyskawicznie napiął potężny łuk. W porę się jednak opanował. Zwolnił napięcie cięciwy, obserwując oddalającego się jeźdźca. Nawet się nie odwrócił, umykając niczym królik. Tropiciel w zamyśleniu spojrział nań i oparł się o potężne łuczysko – wyższe od myśliwego o jakieś dziesięć centymetrów. Drobną kobietą podniosła się i patrzyła w zdumieniu na zadumaną twarz Triguna.

- Panie – jej głos drżał. Owalna twarz dziewczyny, zdradzająca elfie i ludzkie cechy była blada. Bała się.

- To śmierzący tchórz, miła – mruknął, splunąwszy pod nogi. Zdjął przewieszoną przez plecy tarczę i położył ją pod nogami, obracając się w stronę pogoni

- Zaraz tu będą – wyjąkała przerażona kobieta.

- Ano będą - Łowca skinął głową. Chwilę myślał po czym powoli powiedział.

- Schowasz się w kniei. Ja zaś powstrzymam naszą pogoń. – Zwykły ton nie uspokoił jego rozmówcy. Wręcz przeciwnie.

- Ale... – myśliwy przerwał kobiecy protest, głaszcząc dziewczynę po głowie.

- Jak brzmi twoje imię, pani?

- Aeni – wyszeptała. Nerwowo zerknęła na trakt. Można było rozróżnić twarze jeźdźców

biorących udział w pogoni. Byli niebezpiecznie blisko.

- Aeni – powtórzył jak echo, ciepło i bez szorstkości w głosie - najwyższy czas, byś ukryła się w lesie... – pobieгла. Na skraju puszczy spojrzała jeszcze na ledwie widocznego z tej odległości księcia. Przebył już niemal połowę drogi do kasztelu... .

Słońce lało istny żar z nieba, nagrzewając lekkie, stare kolczugi, w które odziana była szóstka pędzących jeźdźców. Pot spływał po twarzach wykrzywionych wściekłością. Jechali tak od rana, odkąd odkryli ucieczkę więźniów. Jadący przodem tropiciel – stary, siwy Ork, wypatrywał śladów, chociaż przy galopie równie dobrze mógł zamknąć oczy. Uniósł na chwilę głowę i ściągnął cugle. Na podwyższeniu stała barczysta wysoka postać. Wiatr delikatnie poruszał ciemnym płaszczem. Słońce świeciło uczestnikom pościgu zza jego pleców, prosto w

oczy. Pod nogami samotnego wojownika leżała drewniana tarcza. Zwolnili tempo, zaskoczeni sytuacją. Nieznajomy zastawiał przejazd. Jeden z goniących dostrzegł fragment oddarty od sukni, w którą odziana była Aeni. Smętnie wisiał na karłowatym krzaku, widoczny z daleka. Krótkim wrzaskiem poderwał cały oddział do galopu. Samotny wojownik uniósł wielki łuk równikowy. Błyskawicznym ruchem naciągnął długą strzałę. Pocisk pomknął z furkotem strącając starego Orka. Świsnęła druga strzała, trafiając w ramię kolejnego napastnika. Pogoń zatrzymała się. Trafiony wojownik trzymał się za strzałę, która przebiła mu ramię na wylot mimo kolczugi. Ork leżał bezwładnie na piasku gościńca. Nie miał tyle szczęścia. Długi, czarny pocisk wystawał z piersi a jego krew powoli wsiąkała w gorący piasek. Zabrzęczały wyciągane miecze. Atakujący zsiadli z koni i zasłaniając się tarczami ruszyli do ataku. Świsnęły kolejne dwa pociski.



Jeden chybił, drugi trafił w niewielki, drewniany puklerz, przebijając go na wylot i trafiając napastnika w policzek. Krew rzuciła się rannemu ustami. Pozostali, ogarnięci myślą ataku biegli naprzód. Kolejne trzy strzały pomknęły nisko, chybiając celu. Wreszcie z bezpośredniej odległości łowca przestrelił jednemu z biegnących nogę. Trigun odrzucił łuk i wyciągnął miecz wiszący przy pasie. W drugiej dłoni pojawiła się drewniana tarcza. Nie czekając na przeciwnika, pierwszy skoczył na nadbiegającego człowieka obalając go uderzeniem barku na ziemię. Jednocześnie zamachnął się orężem na drugiego. Iskry sypnęły się, gdy zetknęły się dwa ostrza. Łowca odskoczył do tyłu, unikając kolejnego ciosu krzywą szablą. Wykorzystał moment, w którym przeciwnik odsłonił się na ułamek sekundy. Niski, zarośnięty człowiek dostrzegł tylko wzniesione ostrze miecza, które spadło wprost na nieosłoniętą głowę. Krew

tryskająca z rozrąbanej czaszki rozlała się wokół. Trigun obrócił się w stronę ostatniego, niskiego orka. Napastnik z niepokojem spoglądał na ciało towarzysza. Wreszcie się zdecydował. Dodając sobie animuszu krzykiem ruszył do ataku, mimo rannej nogi. Trigun bez trudu odparł natarcie. Ponownie zaatakował tarczą, trafiając jej kaniem w głowę atakującego. Ork runął na piasek gościńca. Trigun rozejrzał się. Ranni trzymali się w bezpiecznej odległości, nie ryzykując konfrontacji. Schował miecz i podniósł leżący na trakcie łuk. Wyciągnął z kołczanu kolejną strzałę.

- Aeni uchodzimy – chwilę później z gąszczu powoli wysunęła się amienka. Z obawą i przestraczem wpatrywała się w rannych, stojących poza zasięgiem strzału z łuku. Ogłuszony przez Triguna bandyta z wysiłkiem czołgał się w stronę kamratów.

- Idziemy – Trigun, trzymając napięty łuk, powoli się cofał. Aeni ukrywający się przezornie za

jego plecami szła drobnymi kroczkami. Gwałtowne starcie wyczerpało mordercze zapędy pościgu. Zrozumieli, jak bardzo się pomylili, nie doceniając umiejętności samotnego tropiciela. Jednak dopiero po dwóch czy trzech pacierzach myśliwy schował strzałę do kołczanu. Szedł wolno, widząc, że chód sprawia ból kobiecie. Jedną ze szczupłych nóg znaczyła paskudna, szarpana rana. Do niedawna ścigający ich bandyci zbierali z traktu ciała poległych. Żaden nie wykazywał chęci niepokojenia uciekinierów.

- Panie... – usłyszał jęk dziewczyny. Usiadła na gorącym piasku trzymając się za ranę na nodze

- Nie pójdę dalej... – bez słowa wziął ją na rękę. Nie ważyła wiele.

- Jeno patrzaj, by mnie nie naszpikowali drzewcem jakowym. – Uśmiechnął się pod nosem do zaskoczonej amienki i dziarsko powędrował w stronę kasztelu

\*

Wysoki ostrokół zdołał ozdobić chorągwie księcia Wilhelma III z Roves. Trigun spoglądał w milczeniu na złote lilie wyszyte na błękitnej tkaninie, błyszczące się w zachodzącym słońcu. Były herbem rodu książęcego, otwarcie współpracującego z Zachodnim Cesarstwem<sup>3</sup>. Aeni zaczynała mu ciążyć, choć niósł ją bez słowa skargi. Przekroczył uchyloną bramę kasztelu. Tuż za nią napotkał owego ogromnego strażnika. Musiał obserwować jego nierówną walkę, bowiem bez cienia poprzedniej ironii, powitał tropiciela. Bez inkasowania zapłaty wskazał jeden z budynków gospodarczych. Dziedziniec był pełen żołnierzy w barwach rodu Roves. Nie zaczepiali nowo przybyłych, zajęci grą w kości. Trigun swym jastrzębim wzrokiem niemal natychmiast wyłuskał swego

wierzchowca, przywiązanego pomiędzy końmi gwardii przybocznej. Pokiwał potakująco głową i zaniósł Aeni wprost do wskazanej szopy. W kilka chwil przyniósł czystej wody ze studni i obłożył ranę ziołami wyciągniętymi z przepastnej, skórzanej torby. Dziewczyna napojona przez niego naparem zapadła w niespokojny sen. Obejrzał swe dzieło z zadowoleniem, zdjął kołczan, łuk i tarczę. Cicho wyszedł przed szopę i mając przy boku jedynie miecz, ruszył wprost do karczmy. Przy wejściu zatrzymał go rostry gwardzista zakuty w stal. Dzierżącą w dłoni halabardą zasłonił wejście i warknął oschle.

- Kasztel zajął księżę Wilhelm pachółku, wynocha stąd! – poparł swe słowa znaczącym ruchem drzewca.

- Zawołaj oficera – spokojnie odrzekł łowca, choć w jego oczach zapaliły się złe ognie.

- Aboć będziesz tylko nieczystości z zamku wynosił. Jam jest Trigun herbu

Niedźwiedź. Książę oczekuje na mą osobę – strażnik nie był przyzwyczajony do takich odpowiedzi. Po krótkiej dyskusji z przyzwanym oficerem straży, tropiciel został przepuszczony i skierowany do głównej izby. W kilka godzin zmieniła się ona nie do poznania. Wędrowcy i miejscowi znikli. W ich miejsce pojawiło się kilku dworzan i dwórek oraz sporo towarzyszącej dworowi szlachty. Pośród nich można było dostrzec potężną, tłąstą sylwetkę Wilhelma. Na grubych palcach świeciły się pierścienie. Na środku sali, kilku błaznów starało się rozbawić swego pana, tworząc ludzką wieżę. Raz po raz wybuchały salwy śmiechu. Tuż obok księcia siedział syn. Zdążył już się przebrać a z jego twarzy nie sposób było wyczytać, że jeszcze wczoraj trząsł się ze strachu przed śmiercią. Trigun śmiało postąpił kilka kroków w stronę Wilhelma. Zebrani rozstępowali się. Cichły śmiechy i rozmowy. Tropiciel w ciężkim

kaftanie, splamionym świeżą krwią, wzbudzał szacunek i strach. Stary książę dostrzegł go i wskazując dłonią rzekł głośno.

- Jest zatem nasz słynny łowczy o niedźwiedzim znaku – twarz księcia, okrągłą jak księżyc w pełni, rozjaśnił uśmiech pełen dumy. Tłusty władca wskazał na siedzącego obok syna, który zdążył przybrać już pozę pełną pychy.

- Gurnis jak przystało na mego potomka, sam uwolnił się, zgładziwszy swych ciemieżycieli. – Książę rozejrzał się wokół. Poddani odpowiedzieli radosnymi okrzykami. Spod obwisłych powiek spojrzął na poły pogardliwie na milczącego tropiciela.

- Cóż rzekniecie nam ciekawego Trigunie? Tylko wykonana robota warta jest zapłaty. A jak mi się widzi, nie zapracowaliście nawet na podpłomyki. – Wilhelm zarechotał, porywając za sobą dworzan. Trigun uniósł w górę dłoń, osłonięta kolczą rękawicą, na znak, że chce

mówić. Natychmiast zapadła cisza. Książę poczęstował tropiciela złym spojrzeniem, niezadowolony z miru, jakim cieszył się łowca.

- Wiele racji jest w twych słowach władco – tropiciel skłonił lekko głowę. Jego chłodny głos nie zmienił się na jotę.

- Muszę jednak zwrócić waszej wielmożności uwagę na pewien fakt – spojrzenie księcia nie zwiastowało nic dobrego. Trigun jednak nie cofał się nigdy. Nie zwracając uwagi na wzrok Wilhelma ciągnął dalej.

- Oczywiście w trosce o honor książęcego rodu i jego wielkość – szerokim gestem wskazał na wąskie okna wychodzące na dziedziniec.

- Oficerowie twej gwardii z pewnością zaświadczą, że książęcy syn wrócił konno – łowca z krzywym uśmiechem spojrzał na Gurnisa. Ten nie wytrzymał zimnego wzroku tropiciela i opuścił oczy.



- Oczywiście – Wilhelm nie wiedział, że brnie w zasadzkę i potwierdził.

- Syn jest znakomitym jeźdźcem. Przewyższa cię na pewno – pycha przebijająca się w głosie księcia miała zostać ukarana już za moment.

- Nie przeczę – Łowca zadowolony z przebiegu dysputy wskazał na wciąż milczącego, młodego wielmożę.

- Idzie o to, iż przyjechał koniem Triguna zwanego Niedźwiedziem... – po słowach tropiciela zapadła kłopotliwa cisza. Wilhelm ponieważ zorientował się, że sprytny tropiciel zapędził go w pułapkę swych własnych słów.

- Umożliwiliście zatem powrót Gurnisa – głos księcia zabrzmiał donośnie w całej sali. Pozbawiony pychy, przesycony gniewem na potomka i obawą, że syn zostanie głośno nazwany koniokradem.

- Zatem należy wam się zapłata i złoto za jego życie! – Wilhelm potoczył wokół wzrokiem, napotykać na spokojne, chłodne spojrzenie tropiciela.
- Tak panowie?! – zebrani odpowiedzieli jednym, gromkim okrzykiem...

Zapraszam do innych pozycji literackich:

[Zerwane kajdany](#)

[Incydent na Rigil Prime](#)

[Otchłań Ganimedesa](#)

[Operacja Thor](#)

[Toutatis znaczy Zagłada](#)

[Śmiertelne Przeznaczenie](#)

[Krąg Śmierci](#)

[Najemny szwadron](#)

i do bezpłatnego działu download, gdzie dostępne są inne darmowe pozycje.

[Download](#)

## **PRZYPISY**

<sup>1</sup> Angward z Wilaret – jego chorągiew weźmie udział w bitwie pod Aretas ( patrz „Zerwane Kajdany” )

<sup>2</sup> Rodzaj sztyletu

<sup>3</sup> Zachodnie Cesarstwo – mocarstwo od wieków rządzone przez elfy. Zajmuje ogromny obszar. Jego główna część, podporządkowana bezpośrednio cesarzowi, rozciąga się na większości Haimsdaalu, aż do granicy Złych Ziemi i gór Loretha. W skład cesarstwa wchodzi również Letria i część wysp Południowego Archipelagu. Ścisłą kontrolę cesarstwo sprawuje nad królestwami ludzi – Barthią, Telią oraz Faro. Nieco słabszą zwierzchność mocarstwo ma nad Xarą i Amaterasem. Jeszcze bardziej enigmatyczna jest władza imperium nad wyspą magów Arata – hoi. W czasach Triguna cesarzem jest Fryderyk Mściwy (patrz „Zerwane Kajdany”)